



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

wartalnie rsr. 2 k op. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek.

OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie otrzymać mogą bezpłatnie na *żądanie* początek dołączanej powieści pod tytułem:

STARGANE ŻYCIE

POWIEŚĆ

przez **Flor. Marryat**

przekład z angielskiego

która rozpoczęta została w Nr 50 „Bluszczu” roku zeszłego.

NIE POGARDZAJ.

Nie pogardzaj tą gwiazdą, co zabyłś w noc ciemną.
Chociaż drogi nie wskaże, rozpacz słumi daremną.
Nie pogardzaj tą pieśnią, co wśród burzy tchnie
Może tonów w niej smutnych czule serca dosłyszysz.
Nie pogardzaj uśmiechem, co wśród nieszczęść zakwita.
Może pod nim się tai wielka boleść ukryta...

J. K. Ehrenberg.

SERCE I GŁOWA.

(Dalszy ciąg.)

Lapoński ów owies, który miał służyć Henrykowi za przykład: jak nawyki, przez wychowanie nabyte, zmieniają w następstwie pokoleń naturę ludzi, uszlachetniając ich, lub tracąc na niższy szczebel jestestw—wykazał mu dalej wśród uwag wuja Franciszka i coś więcej jeszcze: dał naukę ważną bardzo. Przymioty i właściwości nasze rodowe: cechy i cnoty rodzinne trwać w nas mogą i powinny przez całe szeregi lat niezatracone, choć w głąb cofnięte—w głębi ukryte. Siła okoliczności, którym ulegamy, nie wyprze ich z tamtąd w gatunkach silniejszych, szlachetniej ukonstytuowanych, więc też przystosowanie się do takich okoliczności konieczne, aby rodzaj nie zaginął i przetrwał warunki do zniesienia ciężkie, jeszcze wynaturzeniem nie grozi, jeżeli tylko jest tu owa moc życia uparcie silna, instynktem zachowawczym nazywana, nakazująca skryć w sobie: złożyć gdzieś na dnie i zamknąć czasowo zdolności i siły, których w danej chwili używać się nie może. Ale wuj Franciszek miał w ogrodzie swoim coś więcej jeszcze do pokazania siostrzeńcowi, i gdy raz tam poszli, stary wilk morski, jak niekiedy nazywał wesoło sam siebie, przysiadł na ziemi i począł pleć grzędę rabaty jednej z wielkiem zajęciem, a następnie z wielkiem zadowoleniem, które zadziwiło Henryka.

Zapytał: czy ktoś inny nie mógłby spełnić tej mozolnej i żmudnej roboty? ale wuj Franciszek potrząsnął głową—odpowiedział, że jest ona dla niego bardzo przyjemną i wyjątkowo zajmującą. Z każdą wiosną znajduje on w ogrodzie swoim

mnóstwo roślin, których nie siał, które tępił nawet, lecz wytepić nie zdołał, bo uparcie trzymają się gruntu. Wprawdzie siła tego uporu jest rozmaita, i tak: podróżnik, pokrzywa, konieczyna, dają się łatwo wyplenić i raz wyrwane, nie ukazują się więcej, chyba wtedy, gdy wiatr przynieśie tu znowu ich nasienie. Ale są inne—uparte, zacięte w walce o byt, z którymi trzeba niejako mocować się, bo nie chcą ustąpić i wyrwane sto razy, sto razy znajdują się znowu na tem samym, co poprzednio, miejscu. Takim jest pęcz, przeklinany przez rolnika—wytrwałości tak nieprzypartej, że przez lata całe wyplenić się z gruntu nie daje. Wyrwać go nawet z korzeniem nie nie znaczy, bo korzeń ów ma zawsze odnóg mnóstwo: nitek cieniuchnych, z których każda zdolna jest kielek z siebie puścić i stać się rośliną nową, z tąsamą siłą zakorzenia się i zagnieżdżenia, odradzania upartego, i to wszędzie, gdzie miejsce sobie obierze: w piasku, czy w pulchnej ziemi ornej, na gruncie kamienistym, bo potrafi kamienie i tym podobne zapory zręcznie omijać i okrążyć—bokiem, spodem się przeciskać.

Takąsamą, choć na pozór inną zupełnie, jest *Trincia tuberosa* ze złoto-żółtymi kwiatkami i listeczkami wązkimi, podobnemi do dzikiej cykoryi. Choć wyrwiesz doszczętnie cały krzaczek—kępkę tych kwiatków i listków, nie uśmierci to jeszcze rośliny, bo zostawiła ona po sobie głęboko w ziemi sześć, dziesięć, dwadzieścia cybulek małych i odradza się z każdej, jak Hydra ze łbów uciętych—w każdej żyje nanowo, cudowna w tem odnawianiu życia z zarodków, które, jako depozyt dla przyszłości, składa w ziemię na zapas.

Szparag dziki posiada takąsamą żywotność niespożyta. Stary marynarz mocował się z nim zacięte przez lata: wycinał, zanim w kwiat się rozwinął i nasienie wydał, doszukiwał się w ziemi korzenia,—ale nie zdołało się to na nic. Aż zmęczył się i znudził pracą bezowocną: i oto, jakgdyby wyzywający go zuchwalec uparty, wyrósł sobie i

w tym roku pod ochroną figowego drzewa, stojąc właśnie w pełnym kwiecie; lecz wuj Franciszek, ukazując go Henrykowi, rzekł bez gniewu i tylko z powagą:—Przejął mnie pewnem uszanowaniem dla siebie, jak silny jakiś charakter i rzekł mu:—Zyj-że sobie....

Lecz zaraz wkrótce wuj Franciszek dopowiedział siostrzeńcowi, co szczególnie skłoniło go do tej łaskawości. Owe rośliny uparte naprowadzają ludzi na myśl, że w całym ustroju świata to tylko trwa—opiera się zwycięzko burzom losu i walkom żywiołów—co korzeniem, co życia podstawą w głąb gruntu idzie. To też człowiekowi, żyjącemu powierzchownie, nic nie pomoże żadna szkoła, żadna nauka i najwyższa nawet idea przewodnia. „Musimy głęboko w ducha zapuszczać korzenie uczuć i myśli, abyśmy mogli przetrwać bez szkody przeciwności życia i jego zapasy, a jeżeli nawet wichry i burze losu zmogą nas nieszczęśliwie—jeżeli z posady naszej wytrąca i o ziemię powala, to przez to, co tam w grunt złożonym przez nas zostało, znajdzie się siła, zdolna nowe latorośle wypuścić i nowe życie wywołać. Co korzeniem w głąb nie sięga i na powierzchni tylko się trzyma, prędko ginie i niszczy, bo całe życie na ziemi—to walka i mocowanie się sił jednych z drugimi. Niech, na przykład, przyjdzie susza, niech lato będzie upalne, to roślina głęboko niezakorzeniona najpierw usycha z braku posilku, gdy tamta inna zawsze mieć będzie dość soków życiodajnych, czerpanych z wnętrza ziemi, gdzie ich nigdy zabraknąć nie może, bo nie parują, nie ulatniają się pod spieką słoneczną.”

„A przytem trzeba korzeniom naszym i rozokolić się szeroko, aby nie jeden tylko mały punkt gruntu służył nam za podstawę istnienia. Wtedy wichry niełatwo zmóżdż nas mogą, a jeżeli nawet dokona tego jaka burza okrutna, odrósłe korzenia naszego zapragną z żywotnej swej siły korzystać, i rozwinie się życie nowe, pełne znów i bujne, to zaś, co czas swój przeżyło, znajdzie w następcach swoich—zastępców.”

— „Myśl, Henryku, o tej historii korzeni, które pod klęską burz, czy suszy, lub wylepijącą ręką ogrodnika życie utrzymać pragną—myśli stosuj to sobie do życia w warunkach ciężkich, zgonem straszących i zużytkuj to do dalszych namysłów nad życiem”—zakończył wuj Franciszek, lecz nie były to ostatnia lekcya życia, jaką dał siostrzeńcowi; wkrótce odsłonił mu dla nauki takiej coś z przeszłości własnej, z lat młodych, które nie były ani łatwe, ani szczęśliwe. Poprowadził raz Henryka nad morze i siedli tam na wysokoku skały nadbrzeżnej; lecz, że dzień posepny był i chłodny, bo zachmurzone błękity nie przesyłały ziemi jasnych promieni słońca, a fale morskie, nie odbijające światła, nie srebrzyły się teraz przed oczyma, lecz wyglądały mętne i szare, więc usposobienie patrzących na nie wesołem nie było. Wuj Franciszek nawet westchnął, bo przypomniał sobie, jak dziesięcioletnim, ubogim sierotą bez opieki, bo rodzice odumarli go tak wcześniej jedno po drugim, puszczał się na morze w podobny dzień zachmurzonego nieba i jakby ołowianych bałwanów głucho huczającej wody.

Jakiś krewny ojca, kapitan w marynarce kupieckiej, brał go ze sobą z litości na tartanę, pływającą na Czarne Morze, z którego portów dowoziła Włochom zboże, a na której on miał służyć, jako chłopiec, uczący się żeglugi. Umiał tyle tylko, co się w wiejskiej szkółce San Terenza nauczył: czytać i pisać, wiedzieć coś o Bogu, coś o powinnościach człowieka, a w przeddzień odjazdu zawezwał go do siebie dla pożegnania się z nim tylko stary pleban miejscowy, don Ewaryst, mówiąc, że mu da na drogę podarunek drogocenny. Ciekawy, co to będzie, myślał o tem przez noc całą, lecz zawód był wielki, gdy na początek otrzymał tylko dwie tabliczki czekolady, które przecież nie stanowiły przyobiecane go daru, bo gdy zawiedziony chłopiec do rąk je brał, ksiądz dodał, że, będąc ubogim pasterzem dusz wśród ubogiej ludności wiejskiej nie może dać mu na pamiątkę po sobie, ani trzosa pieniędzy, ani złotego zegarka, lecz tylko dobrą radę, która jest więcej wartą dla młodości nad dary wszelkie.—Gdyby ojciec twój żył—mówił kapitan

ten ucziwy,—byłbyś chodził do szkół wyższych, byłbyś się uczył wielu rzeczy pięknych, dobrych i rozumnych; że przecież okoliczności życia zmieniły się, żeś został sierotą i musisz sposobić się do życia, o własnej siłę od młodu pędzonego, chcę cię obdarzyć dobrą radą: jak najłatwiej i najpewniej zdołasz to uczynić. Nie trać odwagi z przyczyny, że nie będziesz już mógł w szkołach się uczyć, że twym zawodem będzie służba prostego majtka. Żadna ucziwa praca, ani pospolita, ani upadająca nie jest, i z majtków porządni ludzie na kapitanów wychodzą, tylko trzeba na to zasłużyć i kształcić się: wykształcić odpowiednio do wyższych zajęć życia. Aby tak być mogło, nie można leniwie młodości przeżyć i mój dar, to pokazany sposób samouczenia się—przebywania wielu klas w szkole życia. Codziennie trzeba ci do szkoły takiej uczęszczać i powiem ci, jak to masz czynić. Oto przyrzecz sobie dzisiaj, że musisz codziennie, codziennie nieodwołalnie, trzy dobre uczynki spełnić, poczynając od jutra. Skoro się tylko obudzisz i pacierz zmówisz, namyślić ci się trzeba: jakie być mają? Jeżeli tylko tak pilnie, jak z obowiązku szkolnego, będziesz się wywiązywał z tego zadania, bądź pewnym, że nie stracisz żadnego dnia nadaremnie, że codziennie staniesz się mądrzejszym i lepszym, codziennie nauczysz się czegoś, co życie twoje ubogaci i podniesie na wyższy stopień wiedzy i mądrości...

Pocziwy kapłan pocałował w dodatku sierotę, idącego samotnie w świat szeroki, lecz towarzyszyła mu tam rozumna jego rada, i człowiek pięćdziesięcioletni, wyznawał teraz, że jej zawdzięcza wszystko, co posiada: słodkie wspomnienie życia spędzonego bez plamy na duszy, bez plamy na imieniu, szacunek bliźnich, wreszcie mienie ucziwie zapracowane—dom własny dla starości, która odpoczywać potrzebuje. Namysławiając się nad radą dobrego księdza, chłopiec, w miarę wzrostu i rozszerzania się pojęć o życiu, usystematyzował sobie naukę ową szkoły życia i podzielił ją na trzy przedmioty: trzy takie uczynki, z którychby każdy był codziennie wywiązaniem się dobrem z obowiązków względem kształcenia ducha, względem kształcenia serca, względem kształcenia ciała. Stało się to zwolna w rosnącym młodzieńcu takim przyzwyczajeniem, nałogiem, aby po każdym powitaniu dnia wschodzącego przez ujrzenie jego światła, plan lekcji życia nakreślonym został w jego myśli, że nawet po tych nocach burzliwych i niespokojnych, wśród których nikt nie kładł się spać na statku, miotanym przez wichry i fale, skoro tylko ujrzał szary świt poranku, zaglądający mu w oczy, natychmiast po odmówieniu pacierza i krótkiej modlitwy, której go nauczyła matka, czynił to natychmiast.

I teraz, opowiadając to siostrzeńcowi, dodał, że choć potem przy dobrej chęci i ułatwionej sposobności, mógł się uczyć i uczył—choć czytał niejedno dobre dzieło z zakresu filozofii i moralności, żadne nie przyniosło mu większej korzyści, bo też żadna nauka mądrości nie zdoła zapewnić człowiekowi nic nad to, aby był ucziwym, rozumnym i zdrowym, co razem wzięte stanowi szczęście.

Przecież Henryk, słuchając go zamyslił się. Zrozumiał, jak to poza szkołą i książką można się uczyć, jak ta nauka życia przez życie może być dostępną dla każdego, kto tylko dobre wskazówki po temu otrzyma; niemniej uderzyła go w opowieści wuja Franciszka rzecz jedna.—Jak można dokonać codziennie trzech dobrych uczynków? Byłoby ich zatem w ciągu roku tysiąc dziewięćdziesiąt pięć! Tysiąc dziewięćdziesiąt pięć dobrych uczynków dokonanych przez jednego człowieka!...

Ale wuj odpowiedział mu na to, że każdy porządny człowiek spełnia ich zapewne niemniej, a raczej więcej, bo może być dobrym uczynkiem każdy akt naszego codziennego życia, spełniony dobrze i rozumnie. Uprzejmą ludzkością nacechowane obejście się z otaczającymi nas ludźmi, uczucie sprawiedliwości w każdym stosunku naszym do nich; każda dobra rada, życzliwie dana; każda udzielona pomoc komuś potrzebującemu tego; każda choćby najmniejsza przysługa i ofiara z miłości własnej, z przyjemności swojej na czyjąś korzyść uczyniona; każda nauka w kierunku ucziwego życia zdobyta sobie: wszystko to są dobre uczynki, bo rzeczy dobro i cnotę wśród ludz-

kości szerzące, i czyżby trudnem być miało spełnienie trzech takich czynów dziennie dla ucziwego i pocziwego człowieka?

Wuj Franciszek obiecał przytem pomódz siostrzeńcowi na początek i sporządzić mu pewien rodzaj dzienniczka, w którymby na miesiąc cały zadanych mu do spełnienia dobrych uczynków listę znalazł. Uczyniwszy to przyrzeczenie, rozjaśnił oblicze i smętnie usposobiony przed chwilą, spojrział wesoło:—Oddałem ci dar ten szacowny, który niegdyś otrzymałem od Don Ewarysta... rzekł w zadowoleniu serdecznem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Siadajmy — zawołał wesoło Adam. — Jedną rzecz umiem dobrze: powozić. Zawiozę cię wyciągniętym kłusem do samej poręby.

Jechali przez miasto. Mieszczanie i żydzi kłaniali się synowi bogatego pana, dziwując się wraz z panem Janem, przyjaźni panicza z emigrantem i sekretarzem.

— Prawda, że to mądra głowa, ten sekretarz — mówili. — Lecz cóż znaczy głowa w porównaniu z wielkiem państwem pana na Wilczycach?

Droga wysadzana smukłymi topolami prowadziła do starego Rębowskiego dworu, z olbrzymim o trzech kondygnacjach dachem, pokrytym gontami. Na środku gazonu przed dworem rosła brzoza. Biała jej kora zdaleka świeciła, zielone warkocze spadały na trawnik. Wokoło brzozy rosły róże. Przez całą długość dworu ciągnęła się werenda o kamiennej balustradzie i słupach kamiennych. Całość chwytła za serce prostotą, pociągała ku sobie i więziła. W patrzających budziły się uczucia sympatii dla tej starej siedziby. Z okien wyglądały białe frunki i kwiaty.

Konie, parszając, wyciągniętym kłusem objechały gazon i zatrzymały się, jak wryte, przed drzwiami wchodowymi.

Służący Adama pochwylił lejce i bat; młodzi goście zeskoczyli z amerykańki.

— Oddaję cię twym własnym losom — rzekł cicho Tadeusz.—Marszałek widział mnie w oknie, czeka i pewno niecierpliwi się. Szukaj pań, są w ogrodzie, lub na spacerze.

— Dam sobie radę. Bądź zdrow, baw się dobrze, pracuj, zbawiaj kraj, buduj drogi...

Tadeusz nie słyszał: z torbą myśliwską, wypchaną papierami, zniknął w głównych podwojach, Adam, strzepując kurz z ubrania, rozglądał się dookoła. Od strony gumien biegł służący.

— Panie są w brzezince — mówił zdyszany, kłaniając się — a mnie ekonom zabrał na gumna do pomocy. Roboty huk, boimy się deszczu. Pan Marszałek, jak to jasnie panu wiadomo, nie ma czasu, pisze w kancelaryi lub siedzi na wózku.

— Pójdę do pań — przerwał Adam gadulstwo starego sługi — a ciebie proszę, mój Walenty, odbierz od mego chłopca słomki i zanieś je kucharzowi.

— Wybornie — zawołał stary. — Nasza panienka okrutnie sobie smakuje w ptaszętach. — Mówiąc to, wpatrywał się prostodusznie, a serdecznie, w młodzieńca.

Adam, nie wiedząc co odpowiedzieć, rzekł, byle się zbyć starego:

— Boję się, aby ich kucharz nie wysuszył.

— Niech jasnie pan o to będzie spokojny. Nakładę mu w uszy.—Stary pobiegł w stronę stajni; Adam szedł wolno, wijącą się ścieżką, ku brzezince.

Na zielonem tle, oświetlonem promieniami słońca, wśród białej kory brzoź i ciemnych igieł sośniny, czerwieniał się ponsowy szal i mienił złotem słomkowy kapelusz.

— Są — szepnął, przyspieszył kroku, lecz za chwilę go zwolnił.

— I czegoż leć, po co i na co? Młodość, lub może energia odziedziczona po ojcu, pchają mnie? W spokoju siła i potęga. Idźmy śmiało, lecz wolno... To coś zakrawa na mowę przedwyborczą.—Rozśmiał się.—Trzeba będzie i tego rodzaju sportu zakosztować. Musimy iść drogami, na jakie nas rzucił los... Cóż tak dziś samemi komunąmi strzelam? Z mamą widziałem się ledwo chwilę, a z marszałkiem wcale nie mówiłem. Komuną i banalność muszą tkwić i w mojej krwi i w mym mózgu. — Doszedł tak blisko, że mógł poznać panię i być poznanym.

Panna Julia, w słomkowym kapeluszu na głowie, napół leżąc, odwrócona od słońca, czytała matkę książkę. Matka, widocznie zatopiona w myślach, patrzyła daleko. Muzyka głosu córki kołysała ją, podbudzając do marzeń. Dopiero odgłos kroków Adama po suchej trawie zbudził ją, spojrziała.

— Pan Adam! — Córka odwróciła głowę.

— Zjawiasz się pan niespodzianie, jak duch.

— Ależ to raczej panię w tej chwili zastąpiłyście z nieba! Już od pół godziny idę tą ścieżką. Czerwony szal i złoto kapelusza panny Julii mieniły mi się w oczach.

— Nie z nieba schodzimy, lecz z amerykańskich puszczy. Sienkiewicz nas wodził — pokazała mu książkę. — Co za natura, a jakie obrazy! Bierze ochota rzucić naszą nędzę, lecieć na te puszcze, nurzać się w słońcu.

— Po dwóch dniach uciekłabyś pani z tych puszczy do swego pokoju i wygodnego łóżka.

— Czy pan-byś to samo zrobił?

— Ja się nie wybieram. Lubię puszcze i knieje, lecz zawsze z nadzieją dobrego obiadu, wieczery i wygodnego odpoczynku. Pani niezawodnie żywisz te same uczucia, tylko sentymentalizm kobiecy nie pozwala głośno się do tego przyznać.

— Pozwala — odparła dziewczyna — przyznaję się, lecz mam żal do komfortu i nie lubię tego wyrazu; mam żal do mamy, która mnie rozpieściła, mam żal do całego świata, i chciałabym dla tego uciec na puszcze Ameryki, mieć swój szalet, karczować ziemię, żywić się tem, co się upoluje... słowem: prowadzić życie czynne, pełne niebezpieczeństw — nauczyć się patrzeć w oczy śmierci. A mama, gdy wiatr zaszeleści liśćmi, każe mi się okrywać i, jeżeli się nie okryję, dostaję kataru. Okrywam się więc i czuję litość nad samą sobą i wzrastającą nienawiść do komfortu.

— Cóż pani na to oskarżenie? — zwrócił się Adam do matki.

— Julcia ma rację; wolałabym ją widzieć więcej zahartowaną, silniejszą, bardziej energiczną, umiejacą stawiać czoło przeciwnościom i burzom.

— Jakież to burze czekają pannę Julię?

Matka cicho westchnęła, zamysliła się chwilę i nareszcie powiedziała:

— „Kto tam zgadnie w którą stronę w świat popłyniesz.” Kobieta, szczególnie u nas, nigdy nie jest pewną przyszłości, nigdy nie odgadnie, co jej ona przyniesie.

— Kobieta nadzwyczajna. Panię z naszej sfery i naszych stosunków idą zwykle zamają za blizkich lub dalszych sąsiadów...—urwał i zarumieniał się, sam nie wiedząc dlaczego. W myśli stanęła mu twarz starego sługi, jowialnie uśmiechnięta. Matka i córka również milczały, czekając na dokończenie frazesu. Cisza stała się kłopotliwą, i należało ją przerwać koniecznie.

— W amerykańskiej fermie na brzegu dziewiczego lasu nie potrzebowałabym czekać na zmiłowanie się dalszego lub bliższego sąsiada.

— Tylko? — spytał Adam.

— Tylko sama mogłabym wybrać najodważniejszego z myśliwych, lub najpracowitszego z pionierów.

— Dlaczego koniecznie to *naj*?

— Bo ten, któryby mi się podobał, w moich oczach musiałby posiadać wiele *naj*; musiałby być najlepszym i najdzielniejszym. Patrzyłabym na niego oczami najśladzszymi i najbardziej zaślepionymi.

Adam się rozśmiał. Matka, aby zamaskować zakłopotanie, również się rozśmiała.

— Gdy tu nie mogę stopniować przymiotników. Jeżeli bliższy lub dalszy sąsiad raczy się o mnie starać, to, nie chcąc zostać starą panną, będę musiała oddać mu rękę.

— Czyż z sąsiadów nie znajdzie się żaden — pochwyciła matka — który posiadałby przymioty...

— Być może, mam, lecz to będzie szczęśliwy dla mnie traf.

— Gdy na pustyni? — spytał Adam.

— Będzie to moje prawo — powiedziała z godnością i dumą. — A ładnie jej z tem było. Niebieskie oczy zapłonęły ogniem, nozdrza nieco cienkiego noska rozszerzyły się, po białej, delikatnej twarzy przesunęły się rumieńce i znikły, blond jej włosy złożyły się w promieniach słońca, słomkowy kapelusz niosła w rękę.

Adam spojrział na dziewczynę ciekawie. Impo nowała mu, nietyłe urodą, ile wdziękiem i oryginalnością pragnień, których on nie posiadał.

— Aby mieć własną wolę, czy koniecznie trzeba żyć na pustyni? — zapytała matka.

— Koniecznie, mam, lub mieć wielkie środki! Do tych szczęśliwych należy pan Adam. On może chcieć w wielu razach nienapróżno.

— Tylko nie tu, nie w tym powiecie, tutaj wszechwładnym panem jest pan marszałek. Jego tu wola jest szanowaną i spełnianą.

Matka z córką zamieniły spojrzenia.

— Zazdrościsz pan ojcu memu wpływów?

— Niech mnie Bóg broni — zawołał tonem usprawiedliwienia.

— Są do nabycia łatwo i szybko.

— Nie tak łatwo. Ojciec pani dwadzieścia lat ciężko pracował, zanim je zdobył.

— Dziś jest zmęczony — odparła za córkę matka — i łatwo-by się dał nakłonić do podziału. Życzylabym nawet sobie, aby się tak stało, gdyż więcej mógłby poświęcić czasu sprawom własnym, gospodarstwu, interesom.

— Mimo rozlicznych zajęć, gospodarstwo u p. marszałka wzorowo urządzone, podług najnowszych systemów. Marszałek jest ozdobą naszych towarzystw rolniczych, jego wnioski bywają zwykle przyjmowane oklaskami. — Umilkł, czekając na odpowiedź, lecz napróżno.

— Jaki wspaniały zachód słońca! Krajobraz cały kąpie się w purpurze — zawołała entuzjastycznie Julia. — Purpurowy ton zlewający się z zielenią, na kolorycie przejrzystych szafirów. — Sta nęła, patrząc z upojeniem zachwytu. Obok niej zatrzymali się również Adam i matka, lecz bez widocznego wzruszenia.

— Mamo, dlaczego nie zrobiłaś ze mnie artystki? Professor mój mawiał, że mam talent. — Zwróciła się do Adama. — Skończyło się na tem, że mnie nauczono tyle, ile potrzeba pannie dobrze wychowanej. Umieć malować motyla, dojrzalego pomidora, dwajablka, i to jeszcze akwarelami. „Dosyć”, — powiedziano. — Panna, któraby umiała więcej, wyszłaby ze swej sfery.

— Oskarżasz mnie — przerwała jej matka.

— Droga mam, oskarżam naszą sferę, nasze stosunki i siebie samą. Gdybym się uparła i nie chciała poprzestać na umiejętności malowania dojrzalego pomidora, pozwoliłabyś mi się uczyć dalej. Lecz i ja byłam również zdania, że dla dokończenia edukacji można poprzestać na pomidorach.

— Te pomidory, malowane przez panny kończące edukacją, są pyszne! — zawołał wesoło Adam.

— Nieocenione — dodała Julia. — Nie przeczu wasz pan, jak po ich wymalowaniu czujemy się dumnymi, nie mając najmniejszego wyobrażenia o własnem niedołęztwie...

— Dajcież już pokój tym nieszczęśnym pomidorom — przerwała matka.

— A więc pomidory niech spoczywają w te kach szczęśliwych matek — rzekł Adam. — A gdybyś pani, panno Julio, była artystką, jakibyś rodzaj wybrała?

— Naturę, tylko naturę; byłabym pejzażystką. Ludzie mniej mnie zajmują, dramat odstrasza, historia wielkością odpycha. Światło i barwy, co za rozkosz — nieprawdaż?...

— Prawda — poświadczył machinalnie Adam. Nie śmiał przeczyć, z obawy, aby go nie posądzono o brak artystycznego poczucia.

— Mieszkając na wsi, codziennie miałabym inne modele — wskazała ręką. — Purpura znikła, na białych obłokach został róż i oto rzuca nieśmiało reflexa na krajobraz. Patrzenie państwo: brzoza naszego dziedzińca, jej biała kora chłonie róż reflexu. Śliczna jest! Pełno różowego powietrza i przestrzemi wśród gałęzi. Ja to widzę, czuję, radabym pochwycić paletę i pendzel i zacząłbym mieć żal, a częściej wstępnę, do samej siebie.

— Baw naszego gościa pięknościami zachodzącego słońca, obmawiaj się bez miłosiedzia, a ja tymczasem zajmę się kolacją. Walenty i kuchnia czekają na mnie.

Walenty, stojąc w pokornej postawie u wejścia do kuchni, kłaniał się rozkładając ręce i chcąc ru chem tym sprowadzić panią.

Młodzi ludzie zostali sami.

— Pani jesteś nawskroś artystyczną duszą — odezwał się młodzieniec.

Dziewczyna podniosła na niego niebieskie oczy.

Nie zniósł tego spojrzenia; zakłopotany, pochylił głowę.

— Nie wiem, oile jestem artystyczną duszą, lecz to wiem, że artyzm w życiu codziennem jest rzeczą wielce niewygodną.

— Nie przeczę — pochwycił Adam, odzyskawszy swobodę. — Artyści mają delikatniejszy wzrok i słuch, nawet powonienie i smak. I wtedy, gdy my, zwyczajni ludzie, nie widzimy i nie słyszymy, gdy dla nas jeszcze jest harmonia, artystów dysharmonia razi, brak proporcji gniewa, brak dobranych kolorów irytuje, fałszywe tony wprowadzają ich w rozstrój. Powiem pani w sekrecie prawdę. Cieszę się troszkę, że nie jestem artystą. — Mówiąc to, otworzył drzwi, prowadzące z werendy do salonu. Dziewczyna mu na to nic nie odpowiedziała, podeszła do fortepianu, siadła przy nim i grać zaczęła, lepiej troszkę, niż wypada na dobrze wychowaną pannę.

Pan marszałek pracował w kancelaryi z sekretarzem rady powiatowej. Sekretarz odczytywał referaty głośno, tłumaczył powody takiego, a nie innego, traktowania sprawy. Na zapytania dawał treściwe odpowiedzi. Marszałek słuchał, skinieniem głowy potwierdzał i podpisywał.

— Kochany panie Tadeuszu, Bóg cię zesłał w nasze strony, na moją pociechę. Gdyby nie ty, nie dałbym sobie rady — mówił, podpisując akt dzierżawy myta na drodze powiatowej. Co tu pracy! Patrz — wskazał ręką z pewną dumą na stos papierów leżących na jego biurku. Co tu referatów?!... Sejm, towarzystwa rolnicze, dwie ankiety wydziału krajowego, stowarzyszenia... Inny głowę-by stracił!

— Pierwszy ja, panie marszałku. Nie podolałbym, mimo, że szybko pracuję. Igdybym był na miejscu marszałka, dźwigałbym tylko tyle, ile udźwignąć można.

Marszałek się uśmiechnął łaskawie, co miało oznaczać, że wierzy i podziela opinią sekretarza.

— Gdybym był na miejscu pana marszałka — zaczął znowu Tadeusz i urwał.

— To, co byś robił? Mów otwarcie, jak do przyjaciela. Ja się krytyki nie boję, rady przyjmuję. Dalej, śmiało!

— Wycofałbym się ze wszystkich godności, zostawiając sobie dwie: marszałkowstwo i poselstwo.

— Ha, ha, — marszałek śmiał się serdecznie. — Cofnij się krok, to cię zepchną o sto, a potem już sam w przepaść się stoczysz. Chcesz, czy nie chcesz, musisz stać na posterunku i bronić każdej piędzi stanowiska i wpływów przed łakomstwem Stańczyków. Środek, kochany panie Tadeuszu, jest podstawą, potęgą, siłą, na której się naród opiera. I odemnie, jednego z przywódców, chcesz, abym się cofał?!

— Broń Boże, panie marszałku, nie chcę, nie, nie...

— Więc czegoż?

— Podzielić się władzą.

— Dobrze, lecz z kim? Daj mi ludzi, pokaż mi ludzi, gdzie oni są? Gdzie są ci ludzie w naszym powiecie, naszego stronnictwa?

— Wielką zasługą dla społeczeństwa i kraju umieć ludzi wyrobić.

— Wyrabiaj ludzi gotowych i już urobionych! Pokaż mi jednego z naszych sąsiadów, któryby za uśmiech, uściśnienie ręki i proszony obiad u pana, nie oddał sprawy w ich ręce, nie stałby się ich stronnikiem. Ja sam, przecie mnie znasz, a nieraz mało co nie zmięknę pod wpływem ich słodkich prośb, uściśków, namów.

Sekretarz milczał, lecz wyraz jego twarzy mówił, że podziela ostatnie zdanie marszałka w zupełności. To „mało co“ w opinii sekretarza było bardzo małutkie.

— Pocziwy Gryziecki, sprytny, energiczny, niestrudzony, wyborny agitator, oddany mi duszą i ciałem, lecz słaba głowa i zamało popularny. Popularność—wielka siła; ona-to rządzi i panuje nad umysłami tłumów. Być popularnym, to znaczy być wielkim. Jest paru w powiecie z inteligencji, ludzi niezłych i chętnych, lecz ci nie mają, niestety, popularności i dlatego przepadli dla spraw kraju. Z ciebie, na przykład, panie Tadeuszu, byłby niezły marszałek powiatowy.

— Ja muszę pracować na kawałek chleba.

— No, widzisz. Jedni są niepopularni, drudzy muszą pracować na kawałek chleba, trzeci gotowi za łada uśmiech do zdrady. I dziel się teraz władzą, wpływami! Z kim? powiedz: z kim? wskaż ludzi.—Marszałek widocznie był zadowolony z braku ludzi, ze swej pracowitości i popularności, gdyż po chwili milczenia dodał:

— Dotąd się jakoś wytrzymało, to i dalej się pójdzie. Nie jestem przecie już za stary, siły są... Napoleon miał dziesięć razy więcej zajęcia: wszystkim podolał i jeszcze mu zostawał czas na przyjęcia, uroczystości, bale, a nawet romanse. Dowodzić wielką armią, rządzić bezpośrednio sześcioma ministeriami, interesami swej rodziny, intrygować, spiskować, rozciągać łapy nad całą Europą... Praca bez wytchnienia, bez odpoczynku: nurzać się w tym chaosie wielkich i małych interesów. Ja to lubię, ja to bardzo lubię! — zatarł ręce z radości.

Sekretarz wybornie wiedział, co marszałek lubi, i przestał walczyć.

— Kończąc sprawy naszego powiatu — zaczął poważnie:

— Ach kończmy je — dodał marszałek, wzdychając ciężko.

— Są jeszcze trzy kwestye do załatwienia. Drogi na samej granicy powiatu...

— Wiem, wiem, dać, co można, i niech sobie radzą, jak umieją.

— Walka o drogę między gminami...

— Pogodzić. Pogódź ich, kochany panie Tadeuszu, jak możesz i umiesz, byle prędko, bylebym ja o ten nie wiedział. Proszę cię bardzo.

— Trzecia...

— I trzeciej dasz radę. Wierzę ci na słowo. Odpoczynku jedną godzinę, zupełnego odpoczynku, godzinę rozkosznej nirwany, zapomnienia, nicości... — deklamował.

Sekretarz układał w milczeniu papiery. Szarawo się zrobiło w pokoju. Słońce ostatnimi blaskami srebrno-żółtawymi zegnało ziemię; światła jeszcze nie wniesiono. Do kancelaryi wsunęła się barczysta, ogorzała postać ekonomy; skłonił się nisko, stając przy drzwiach.

— Panie Świdzki, cóż tam pan powie? — spytał marszałek. — Zwieźliście potraw?

— Zaledwo czterdzieści fur, jaśnie panie. Większa połowa w polu, a deszcz pewnikiem pojutrze. W lewej nodze drze, aż miło.

— Musi się zwieźć.

— Musi, lecz czem? wozów nam brak, sprzężaju brak...

— Nająć.

— Za żadną cenę; każdy sobie wozi.

— Patrz pan: oto wdzięczność naszego ludu, za tyle, co się dla niego robi. — Świdzki milczał.

— I nie poradysz pan? — zwrócił się do Świdzkiego.

— Ktoby chłopą prosił — odparł z butą Świdzki — gdyby były swoje zaprzęgi! Com się jaśnie pana naprosił, żeby zamiast zamorski ogród fundować, kupić choćby cztery dobre fornalki.

— Mój Świdzku, nie rozumiesz się na tem.

— Przecież wiem, że naprzeciwno jaśnie marszałka jestem głupi — i basta. Ale i to wiem, że ani ogród, ani nowa z wentylatorami stajnia, nie zasieją. A jak mi Bóg miły, wielki już czas.

— Przyszedłeś, aby mi morały dawać?

— A niech mnie Bóg skarże! przyszedłem do głowy: co głowa każe, nogi zrobią.

— A ty nie masz głowy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXVI.

Uriel Acosta, tragedia w 5-ciu aktach, *Karola Gutzkova*; przełożył z niemieckiego wierszem *Mikołaj Bołoz Antonowicz*. **Ciotka**, komedia w 1-ym akcie, *Józefa Bliżińskiego*. — **Manfred** Byrona na scenie. Schumann i Byron. — Deklamacya „liryczna“ i dzisiejsi artyści dramatyczni.

Po czterdziestu latach istnienia w dramacie Gutzkova znalazł się Uriel Acosta w Warszawie i przemówił do publiczności naszej ze sceny Teatru Wielkiego. Tragedya ta jest jednym z najlepszych utworów muzy dramatycznej Niemców, jednym z najlepszych pod względem sztuki, a najbogatszych pod względem myśli. Wybitny przedstawiciel „Młodych Niemiec“ — wypowiedział w niej swą wiarę filozoficzną, społeczną i poetycką z zapalem nieostudzonym jeszcze przez doświadczenie, jakie przynosi każdemu rozumowi czas, ani przez dolegliwości i zawody, jakie jemu samemu przyniósł los, który mu był przeznaczonym. Jako dzieło umysłu patrzącego na sprawy ludzkie jest *Uriel Acosta* protestacją myśli wolnej przeciwko stężyłym instytucjom, tradycjom i obyczajom — jest walką wolności samej z despotyzmem, jednostki z gromadą, indywidualności samowiednej i samoistnej z rodzajem, rozwijającym się na wielkich przestworach czasu bezwiednie. Taki jego charakter obok zalet estetycznych zapewnia mu trwałe miejsce w tym dziale literatury powszechnej, który odbija w sobie dzieje umysłowości ludzkiej i stawia ideały dla człowieka żyjącego zbiorowo najważniejsze, najdroższe. Dobrze, iż nareszcie po wielu latach w Grudniu ubiegłego roku wprowadzono ten podniosły, rozumny, a wogóle dobrze napisany i zajmujący utwór na scenę, nad którą pomimo wszelkich wysiłków swojskiej twórczości, komedia i farsa francuzka nie przestają panować, jak zresztą panują nad scenami całego świata. Lepsze powietrze wpada do teatru, gdy się korytna otwiera dla takich otworów, przy których ziewa filister lub lekka fryga salonowa.

Dlaczego Gutzkow za bohatera obrał sobie Uriela Acostę? Czy nie miał wyższych, prawdziwiej bohaterskich wzorów? Zdaje się, że go pobudziły współczesne badania Hollendrów nad renegatem żydowskim — badania, których odbicie znalazł około r. 1846, kiedy pisał swą tragedya, w literaturze peryodycznej niemieckiej. Przy wyborze przedmiotu nie mogło też być obojętnem dawne nawyknięcie poety-mysliciela, który w bardzo wczesnych już latach zataczał tarany młodzieńczego ducha przed mury religii stanowiących. Gutzkow tak wyolbrzymił swego bohatera, tak go upięknił i opromienił, że prawdziwy Uriel do tego żyjącego w sztuce niewiele ma podobieństwa. Tamten musiał być człowiekiem słabego charakteru, a upartej tylko myśli, bez świętego ognia apostołstwa i walki; tego dusza, miota się wprawdzie i waha wobec najwyższego obowiązku dochowania wiary samej sobie — ulega podbudkom sprowadzającym ducha z podniosłej dro-

gi raz ukochanego ideału — ale ten ideał ostatecznie kocha z taką miłością, że staje odważnie do walki z przemocą, a w walce tej przedstawia się jako charakter dość dzielny i żeśrodkowany w sobie, aby w nim ziarno tragiczności organicznie wzejść mogło.

Do takiego ukształtowania Uriela w poezyi, wzbijającej się wysoko ponad szary poziom istotnej rzeczywistości, dopomógł sobie Gutzkow przez zesunięcie całego życia bohatera w jedną prawie chwilę, oraz przez taki układ rzeczywistych przygód i wypadków, który lepiej odpowiadał wymaganiom dramatyczności. Zyskał przez to Uriela młodego, kochającego, szybko przelatującego skalę tragiczną, gorejącego młodzieńczym ogniem i popędliwością; zyskał dla swego bohatera serce i głowę młodą — i nieprzeparty nigdy urok walczącej o swe ideały młodości. Nie zgadza się to z prawdą; ale też utwór Gutzkova nie jest dramatem historycznym: historia dostarcza mu tylko osnowy dla złotego pasma idei. *Poëtis omnia licent* — byleby dochowywali wiary tej jednej, wiekuiście tejsamej, a bez kronik i ksiąg dziejopisarskich obywającej się historii — która się historją serca ludzkiego nazywa. Prawdzie tej historii poeta w *Urielu* się nie przeniewierzył, a nawet, pomimo błędów utworu, piękny hołd jej złożył. Można mu wybaczyć pogwałcenie prawdy pozytywnej, zewnętrznej, w wydarzeniach ściśle już obramowanych zamkniętej. *Uriel* wreszcie, jak nie jest tragedya historyczną, tak też nie jest i tragedya judaistyczną, a — jak głosi podobno nasza oświecona ciemnota — bodaj nawet apologią judaizmu. Nie, jeśli jest w tragedyi jaka apologia, to tylko myśli wolnej.

Znającym już tragedya przyda się może zestawienie w ogólnym zarysie tych kolei życia, jakie przeżył Acosta w rzeczywistości, z temi, jakie w dramacie przeżywać mu nakazuje Gutzkow. Każdego uderzają odrazu zmiany dokonane przez trud twórczy. W r. 1647, kiedy się tragedia odgrywa, ma prawdziwy Acosta już lat 53, urodził się bowiem w Oporto, w r. 1594 — a co więcej, urodził się już chrześcijaninem, gdyż rodzina jego przeszła już była podówczas na katolicyzm. W 25-m roku życia był Uriel skarbnikiem w jakimś kolegium kościelnym w Portugalii; ale myśl nieopodległa wtedy się już w nim burzyła, aż wybuchła w racjonalistycznej krytyce, wskutek której dla bezpieczeństwa swego musiał nowator uciekać z kraju.

Ojczyzną wygnania dla żydów i innowierców chrześcijańskich w Portugalii była podówczas Holandia. Niderlandzki mędrzec Spinoza, jako kilkunastoletnie pacholę przez Gutzkova do dramatu wprowadzony, był również portugalskim żydem. W Amsterdamie przechodzi wolnomyśliciel na judaizm, ale, raz się w nim znalazłszy, zaczyna się znowu przeciwko niemu burzyć, krytykuje nauki rabbinów, zaczepta o samo Pismo, wzywa do reform, podważa filary powagi i władzy — za co wszystko musi na siebie ściągnąć klątwę i nowe wygnanie, ale teraz już tylko ze społeczeństwa gminy żydowskiej, w którą był wszedł. Przekonany o słuszności swej sprawy, czując jednak ciężar przekleństwa, na usprawiedliwienie się przed opinią powszechną, ogłasza pismo polemiczne, w którym nowej, już nietylko przeciwko judaizmowi, ale i przeciwko samemu chrześcijaństwu, dopuszcza się herezyi.

Było to w czasach rozrastania się północnych Niderlandów przez wolność, po faktycznem już wybiciu się na niepodległość narodową; bluźnierczą radą miejską Amsterdamu skazała łagodnie na wysoką karę pieniężną. Zapłaciwszy ją, mieszkał Acosta w Amsterdamie, poświęcając się badaniom religijnym i filozoficznym, z których bardzo mało pozostawił plony. Po piętnastu latach takiego życia i pracy zateknił do gminy, odwołał swe błędy i napowrót do społeczności żydowskiej przyjęty, napowrót zaczął duchem podkopywać literę, przetrząsając Zakon i Talmud, — dopóki go znowu nie skazano na karę hańbiącą, a gdy się jej poddać nie chciał, znowu nie wykleto. Po raz drugi zatem znalazł się za progiem i poraz drugi do wrót kołatać musiał.

Siedm lat trwała ta samoistność, więcej uszczypliwymi docinkami, drobną zemstą, niż porządną

walką z obu stron podtrzymywana. Dopiero w r. 1646 ukorzył się Acosta powtórnie i wszedł do zgromadzenia, ale już tylko nakrótka: gorycz życia, a głównie niezadowolenie z samego siebie podało mu w r. 1647 do ręki broń samobójczą. Przez długi czas nie myślano o nim; dopiero około r. 1840 zaczęto pamięć jego odświeżać, a w r. 1849 wydano autobiografią znaną w Amsterdamie. Takie było życie: w samych jego kolejach zarysowują się już kształty człowieka. Mógł to być człowiek rozumny i myśli swe kochający — ale bohaterem nie był.

W tragedji Gutzkova Uriel staje przed nami jako młodzieniec nauczający w domu bogatego kupca amsterdamskiego, van der Strattena. Uczennicą jego jest piękna córka Judyty; plonem nauki miłość, od której i sam nauczyciel się nie broni, ale ma ją na oku narzeczony dziewczycy Ben Jochaj. Związek tragedji, przy wolnomyślnem usposobieniu Uriela, gotowy. Młodzieniec, chroniąc się przed burzą uczuć, postanawia opuścić Amsterdam; pójdzie tylko na pożegnanie do dawnego swego nauczyciela, de Silvy. Tu właśnie przynoszą starsi gminy heretycką księgę napisaną przez Acostę, poddając ją pod sąd człowieka znanego z mądrości. W tej chwili bohater w Urielu daje pierwsze drgnienie: zostanie, właśnie dlatego, że go ścigają. Silva, pomimo życzliwości, wydaje wyrok potępiający, ale otwiera zaraz uczniowi swojemu furtkę, przez którąby się mógł ocalić: niech tylko Acosta przyzna się do wierzeń chrześcijańskich, a uniknie kłatwy. Duch szlachetny gardzi takim ocaleniem — i jest to najwspanialszy moment jego w tragedji. Pada tedy straszliwa kłątwa, bardzo silnie wyrażona. Wyklinanego odstępują wszyscy, zrazu nawet Judyta; ale potem przemaga w niej miłość, przemaga i bohaterstwo: sama jedna przy wyklętym zostaje. Zaczyna się działanie pobudek niższych. Van der Stratten przystaje na związek Judyty z Urielem, pod warunkiem odwołania błędów; ociemniała matka błaga litości: bohater mięknie, topnieje i idzie do synagogi na pokutę. Tymczasem mściwy Ben Jochaj miał czas podkopać majątkowe stanowisko Van der Strattena, a płytki charakter bogacza, niezdolnego nawet pomyśleć o niedostatku, wywiera nacisk na córkę. Dla wyratowania ojca zgadza się Judyta na ponowne oddanie ręki Ben-Jochajowi. Wszystko to dzieje się bez wiedzy Acosty, trzymanego w surowem więzieniu przez rabbinów. Po wielu dniach srogich doświadczeń zbiera się nareszcie sąd na przestępcę-pokutnika. Przewodniczy w nim mądry Ben Akiba, trzęsący się już starzec, którego maxyma: *Es ist schon alles da gewesen* — stała się europejskim przysłowiem. Sąd żąda odwołania błędów i wymierza hańbiącą karę podeptania przez wiernych. Wszystkiemu poddaje się młodzieniec, pragnący ocalić serce swoje i rodzicielkę swoją — których już wtędy nic ocalić nie mogło. Obwieszcza mu to wróg Ben Jochaj, stawiając mu stopę swą na grzbiecie: Judyta wychodzi za niego, Ben Jochaja, a matka umarła. Wtedy zrywa się Acosta, jak wichur, i wyrzuca z siebie pioruny gniewu, zlorzeczenia i dumy. Jako scena zbiorowa, ten obraz w synagodze jest zaszczytem sztuki dramatycznej; ale w samym Urielu czuć raczej nerwową reakcją, niż bohaterstwo. Zgasło ono już w akcie III, kiedy młodzieniec oddawał się w niewolę synagodze. Zakończenie jest mdłe i dorobione. Judyta, wyszedłszy za Jochaja, truje się, a Acosta wystrzałem z pistoletu odbiera sobie życie. Oto dramat.

Jest w nim wiele rzeczy pięknych i silnych, wiele podniosłości i rozumu, jest odczucie doskonałe tego stosunku tragicznego, jaki musi się zawiązać pomiędzy zuchwałą, po nieskończonej paraboli swej lejącą indywidualnością, a w tradycjach zagrzęzłą i zatylą gromadą — rodzajem, do którego dana jednostka przez pochodzenie tylko swoje należy. W pojedynczych charakterach Uriela i Judyty są momenta wyraziste, silnie do duszy przemawiające; prawda w przedstawieniu hierarchicznej powagi i hierarchicznego przesądu nieposzlakowana; rysy rodzajowe w charakterach uderzające, tak w Ben Jochaju, jak w Silvie, w Ben Akibie i w van der Strattenie; wysłowienie podnosi się do rzetelnej potęgi prawie zawsze, ilekroć duch wzbija się na wyżyny dumy lub

gniewu. Miłość mniej wzbogaca sam charakter bohatera, niż przygody jego losu w dramacie. Zdania wkładane w usta osób dramatu mają zwieźłość i dobitność maxym i przypominają mądrość lessingowego *Nathana*. Poloty myśli mają zawsze szlachetne kierunki, zmiernają ku drogim dla rozumu ludzkiego ideałom. Jest mężkość, prawda i zarazem prostota w tej frazeologii opędzającego się przeznaczeniu swemu Uriela. Jako błędy wytknąć można niedostrojenie bohaterstwa woli do bohaterstwa myśli, malowidlową robotę aktu I aż do ostatniej sceny; dostawkę liryczną zrobioną z aktu V; sztuczność w rozmyślnem wprowadzeniu matki, dla jednego tylko celu zmięczenia bohatera widokiem niedoli, ślepoty i starości. Zyskałaby na tem dramatyczność, a nawet sam liryzm utworu, gdyby Gutzkow ukazał był poza Urielem jakąś gromadę trzymającą z nim i gotową go wesprzeć w walce. Jego dobrowolna pokuta wywołać-by musiała wtedy nowe starcie, nowe naprężenie charakteru i dostarczałaby treści istotnie już dramatycznej aktowi V. Meirowi Ezofowiczowi Orzeszkowej towarzyszy taki orszak umysłów przyjaznych; ale też Meir, choć młodszy i rzewniejszy, ma w sobie daleko lepszy zasiew bohaterstwa, niż Uriel Acosta, wyrzucający płomieniste pioruny w synagodze. I w Urielu historyi, a raczej biografii, nie widać takiego rozpostarcia własnej osobistości na inne; tymczasem rzetelnego bohatera myśli wyobrazić sobie nie można bez rzeszy idącej za jego lotem.

Urielem był p. Kotarbiński, był i sprawcą Uriela na scenie naszej. On tragedją Gutzkova zalecił reżyssery; on wybrał przekład i, co więcej, w wielu miejscach niedobłą robotę poprawił, nadając wysłowieniu tok sceniczny, tak często lekceważony przez autorów i tłómaczy: jemu też należy się zasługa wprowadzenia do nas sztuki, która już oddawna się tego dopominała. Rolę swą pojął artysta tak dobrze i szczerze, oddał w tonie tak prawdziwym a szlachetnym, że nie pomylimy się może, stawiając Acostę p. Kotarbińskiego ponad wszystkie inne jego wytwory, choćby tylko ze względu na ogrom roli i zasób siły do utrzymania się w niej potrzebnej. Najlepszym, bo już porównującym, był artysta w akcie II i IV, w ustępach deklamacyjnych, gdzie duch wezbrany wylewa się długim, spienionym potokiem myśli; bładość aktu V odjęła i roli wybitniejszy koloryt. Acosty możemy wszyscy p. Kotarbińskiemu powinszować. Znalazły się wprawdzie Arystarchy i Zoile, stare wygi teatralne, którym w grze artysty jedno było niedobrze oddaniem, a drugie znowu niedobrze zrozumianiem; ale artysta może na te głosy nie zważać: zabrał sobie Uriela na własność, wcielił go w siebie i żyje nim na scenie.

O Judycie nie mogę tego powiedzieć. Panna Marcello wiedziała i chciała, ale nie zupełnie umiała. Krzyku i szarpania się mniej, uczucia więcej — głębszej, a mniej falującej toni do tej roli potrzeba. Może i głos zawodził, może ten ośrodek dramatyczny, w którym się Judyta porusza, może nieusposobienie chwilowe; ale na drugim przedstawieniu gra p. Marcello widza w całości zadowolić nie mogła. P. Szymanowski był nadspodziewanie naszym dobrym Silwą; ale p. Rapacki również nadspodziewanie słabo rzeźbionym Akibą; wejście samo ruchliwego starca dobrze pochwycone, ale ton mowy później zbyt lekki, młody jakiś i rzeźki. P. Leszczyński psychę i fanatyzm Santosa dobrze oddał. Wogóle sztukę grano starannie, z zamiłowaniem. Wystawa Meiningerńska: huczące tłumy, goście przechadzający się po ogrodzie, orszaki weselne, księżycy i fontanny; widoki Amsterdamu i morza — wszystko to było, i zastosowane do wymagań w pomysłach, i wolne od zarzutu w samem wykonaniu.

Ciotka, Ciotka na wydaniu, Blizińskiego, jest bardzo miłym obrazkiem, na który składają się cztery postacie: młode małżeństwo, ciotka pani domu, stara panna, i gość obojga państwa, stary kawaler. Jak zwykle, kobiety samotne, które już w powodu wieku bawić się nie mogą, a kapitału niezaspokojonej miłości nie mają gdzie umieścić, ciotka przez miłość dla siostrzenicy swojej zrędzi i sieje niezgodę w małżeństwo. Mąż, utrapiony, postanawia się jej pozbyć. Dopomaga mu

do tego bardzo szczęśliwie skłonność starego kawalera do spokoju, do własnego ogniska — a nawet do marzeń, jakie małżeństwo samo ze sobą przynosi. Ciotce w to tylko graj: zwróciła już dawno oko na gościa, i podczas kiksów i mariażów więcej o nim, niż o królu czerwonym myślała. Wkrótce nawet ukochany Bobuś, — pieszczoszek z materacykami i czapraczkami swemi, pójdzie na ofiarę miłości. Ostatecznie młodzi schodzą starość w pozie młodości: on kłęczy, ona się do niego nachyla. Wszystko się dobrze kończy: ciotka będzie miała jeszcze dla siebie męża, a młodzi nie będą już mieli przy sobie ciotki. Wrażenie z tej powabnej drobnostki jeszczeby się podniosło, gdyby stary kawaler był mniej dziwakiem i człowiekiem wesołego humoru, a więcej odczuwał w sposób poważny swoją samotność i strach przed pustymi kątami na czarniejszy jeszcze zmrok życia. Komedją Blizińskiego przedstawili: panna Czaki, p. Ostrowska, pp. Wolski i Rapacki. Prawie zbyt czynnym jest dodatek, że przedstawili ją dobrze.

W Niemczech, Francji i Anglii ludzie pozwalają sobie na pewien zbytek teatralny: dają przedstawienia *pro honore d'amus*; wystawiają np. całe serye dramatów jednego autora, z wielkim imieniem w historii literatury; albo kilka sztuk na jeden szerególny temat historyczny pisanych, albo cały szereg utworów z jednego wieku, albo wreszcie dramata liryczne, w których słowo żywe kojarzy się z muzyką. Dla honoru wystawiają nawet rzeczy niesceaniczne, byle tylko w formę dramatyczną przyodziane. Cywilizacja wszelka jest do pewnego stopnia potrzebą, od pewnego zaś stopnia zbytkiem, na który tylko bogacie pozwalają sobie mogą, a my o ubóstwie swoim dobrze wiemy. Nie dla zachęty przeto, ale dla podzielenia się wrażeniem, zapisuję tutaj niedawne przedstawienie *Manfreda* bajronowskiego w Monachium. W dramacie tym bohaterem jest sam poeta; błędy, tajemnicze zbrodnie, rozpacz Manfreda są jego własnymi błędami, zbrodniami i rozpaczami; w Astaracie błyska poecie własna jego siostra przyrodnia. Geniusz wszystko wymalował, ozłocił, wypiękował — i shołdował sobie umysły ludzkie na długie jeszcze wieki. Inny geniusz, podobny mu z rozrzucenia, nieładu i niepokoju, ale również potężny w romantyzmie, Schumann, napisał do dramatu muzykę; uwertura, *intermezzo*, przekleństwo czarownic — są wspaniałymi poematami tonów. Ateny niemieckie przed dziesięcią dniami ujrzały tego lirycznego Manfreda w nowej wystawie. Niegdyś Possart zachwycał tych niemieckich Ateńczyków w roli potępieńca; dziś krytyka żałuje jego straty, bo następcą, choć ceniony artysta, niejaki Bonn, nie posiada kunsztu deklamacji lirycznej. Nie mogąc się zgodzić z muzyką, dzisiejsi Manfredzi ograniczają jej współdziałanie do zaklęcia Astarty i Pożegnania słońca. U nas ostatnim deklamatozem lirycznym był Królikowski. Wstręt do wszelkiego melodramatu, gnębi artystym żywego słowa, kojarzonego z muzyką. Ale i wstręt ten przemienie i artyzmu, w Starożytności wysoce uprawiany i czczony, doczeka się przyszłości. *Es ist schon alles da gewesen*.

Stanisław Krzemiński.

Dziennik Zofii Komierowskiej,

spisany w Paryżu w r. 1853.

(Dalszy ciąg).

D. 9 Lutego. Dziś, w sam Popielec uroczystość ludowa — processya z wołem tuczonym, przeziąga po najgłośniejszych ulicach. Ile tu zbytku i przepychu a częściej pustoty! Muszą Francuzi być bardzo swobodni i bogaci, kiedy się tak bawić mogą. Cały orszak składał się z przeszło 4 tysięcy ludzi. Wszystkie kostiumy aksamitne, przybrane złotem galonami, reprezentowały naj-

rozmaitsze starożytne i tegoczesne narodowości. Pochód poprzedzała muzyka na przeslicznych białych koniach, następnie jechali rycerze za którymi prowadzono ogromnego wołu, przybranego w wieńce ze świeżych kwiatów ze złoconymi rogami i kopytami, a końce wstęg szerokich unosiło sześciu Rzymian, to jest za Rzymian przebranych jakichś czeladników. Za wołami postępowały ogromne wozy, zaprzężone w dwanaście koni; na jednym z nich były postacie mitologiczne—wszystko piękne dziewczęta—stojące nieruchomie; na drugim dwanaście dziewcząt dźwigało na ramionach swoich ogromną muszlę, napwól otwartą, z której się wychylała czarująca dziewczica. Wyobrażało to *la naissance de Venus*. Orszak, otoczony tysiącami ciekawych próżniaków i uliczników, spacerował tak do późnej nocy. Powtórzyć się ma ta uciecha jeszcze za kilka dni, poczem nieszczęśliwy męczennik wół pójdzie pod nóż, a poledwica i najlepsze części będą oddane do kuchni cesarskiej.

D. 16 Lutego. Wracam z koncertu z Sali Erarda. Koncertantką ośmio-letnia dziecina, której słabe siły exploatował ojciec Włoch dla utrzymania licznej rodziny. Dla zapewnienia sobie powodzenia, udali się do cesarzowej i pod jej szczególną opieką odbył się dzisiejszy koncert. Dziewczynka ta jest tak wątła i drobna, że ją trzeba było na taborecie posadzić, podłożywszy poprzednio poduszkę. Gra jej jest rzeczywiście zdumiewająca; trudno uwierzyć, aby było tyle biegłości uczucia i siły w tak wątłym i słabym dziecku. Sala trzęsła się od oklasków; po każdym odegranym numerze cesarzowa przywoływała dziewczynkę do siebie, ofiarowywała jej cukierki, a w końcu wręczała jej przesliczną lalkę, tak dużą, jak sama artystka. Smutne wrażenie wywarł na mnie ten koncert: wszak to rodzony ojciec wiedzie na śmierć dziecko swoje dla zysków materyalnych!

D. 17 Lutego. Czwartek — poeta na obiedzie, znów występują najulubieńsze przysmaki, o których uprzedza mnie przyjaciel i najwierniejszy sługa jego Służalski. Dziś mi jakoś łatwiej poszło, byłam owiele swobodniejszą, przemówiłam nawet pierwsza, a mój poczciwy mąż aż mnie uścisnął, widząc jakie robię wysiłki i postępy. Po obiedzie, na żądanie poety, odegrałam fantazję na temata polskie i wszystkie, jakie tylko umiałam, krakowiaki. Mówiąc o pieśniach ludowych, odezwał się, że oddałby śpiew wszystkich primadon europejskich za jedną strofę w latach dziecińczych słyszaną w ojczystej zagrodzie i jednocześnie zaczął na całe gardło nucić jakiś wesoly podśpiewek ludowy, do którego musiałam mu akkompaniować:

Tańcowała Małgorzata,
Tańcował i Grzegórz etc.

Ledwie się skończył ten wybryk dobrego humoru Mickiewicza, z oczu jego puściły się łzy rzęsiste. Anioł milczenia przeleciał nad głowami—a płacz wielkiego poety, choć prędko pohamowany, był dla nas wszystkich żarliwym.

D. 19 Lutego. Ci bracia Towiańczycy czasem maie tak męczą, żeby od nich uciec rada, a nie mogę tego mężowi powiedzieć, bo jeszcze-by się zamartwił. Mnie dotąd nie nazywają „siostrą“, bo jeszcze nie stałam się godną tego tytułu. Opowiadają mi tysiączne wydarzenia z duchami i obiecują, że i mnie kiedyś duch „dotknie“, jeśli na to zasłużę. Przyznaję, że ta obietnica tak mnie przestrasza, iż myśleć o niej nie mogę, z całą też szczerością mówię im, że wołę umrzeć, niż ducha zobaczyć. Z mężem mym obchodzą się, jak z odszczępieniem pokutującym; pyszni są wobec niego i nadęci, co mnie bardzo gniewa, bo przecież całe dnie spędzają u nas, jedzą, piją, dostają pieniędzy, ile który zażąda, a wzamian za to wszystko pozwalają sobie lekceważyć człowieka z najlepszym sercem, świadczącego im tyle przyśług, z nieograniczoną szczerością, bez cienia sobkowstwa.

D. 24 Lutego. Poeta znowu na obiedzie, a obiad ten powiódł się w zupełności; barszcz był wyborny, robimy go bowiem na czerwonym winie, co owiele smak podnosi. Oprócz tego, był roast-beef, szparagi, kuropatwy, sałata, krem, dessery.

Przy czarnej kawie poeta, zniewolony usilnemi prośbami, zadeklamował „Agamemnona“ Słowackiego. Wrażenie wywarł wielkie: takiej siły nawet po nim nikt-by się nie spodziewał. Pomimo woli głowę schyliłam, bo mi się zdawało, że gromy z nieba lecą.

D. 26 Lutego. Z cesarską parą zwiedzałam fabrykę gobelinów, tę prawdziwie mrówczą pracownią. Każda gobelina jest kopią najpierwszych oryginalnych arcydzieł a wykonanie jednej nieraz parę lat czasu zabiera.

Piękny, wspaniały ten Paryż, a jak mnie w nim dobrze! Gdyby nie to przecucie smutnej jakiejś przyszłości, które mnie opanowało i na każdym kroku mnie ściga, byłabym chyba najszczęśliwszą z kobiet. Nawet kiedy jestem pomiędzy najweselejszymi, taka mnie dziwna tęsknota ogarnia bez żadnej wiadomej przyczyny, że, gdyby nie wzgląd na najpoczeiwszego męża mego, płakałabym jak dziecko. Chwilami mam niby jasnovidzenie, że mnie Bóg w blizkiej już przyszłości na straszne wystawy próby. O jedno tylko błagam: niech cierpię sama, niech los okrutny oszczędzi mego drogiego męża, choćbym wszystko inne: majątek, zdrowie a nawet i życie, utracić miała.

D. 2 Marca. Wczoraj dostałam od Michała oryginalne pudełko chińskie z doskonałą herbatą na wpół z kwiatem zmieszaną, — przyniósł mi ją ten wiekuiasty sekretarz jego, którego parę godzin zabawałam. Nastawiliśmy samowar i przyrzadzili herbatę na sposób używany w Chinach.

Herbata owa, tak przyrządzona, wydawała nam się nektarem; smakiem swoim i wonnością porównywałam się nawet nie dała z tą, którą my zwykle pijamy, więcej to jednak od wysokiego jej gatunku zależało, niż od sposobu przyrządzenia. Pan sekretarz ubrany był w długi szlafrok czy chałat w kwiaty z szerokimi rękawami, włosy długie zczesane do góry, zaplecione na czubku głowy. Jakby mało było tego naturalnego warkocza, przypleciono jeszcze p. sekretarzowi sztuczny z końskiego włosia, łokciowej długości. Twarz bez zarostu duża, płaska, uśmiechnięta, a przytem wszystkim ospowata. — „Czy pani wie—mówił do mnie—co nas cudzoziemców i do tego Chińczyków najwięcej w waszych europejskich zwyczajach zadziwia? Oto dwa guziki, z tyłu każdego ubrania męskiego. Użytku ich domyśleć się nie możemy. Dziwi nas także i sposób ucierania nosa. Dlaczego dopełniwszy tego, składacie starannie chustkę dyskretnie do kieszeni? I tego również nie rozumiemy.“

D. 7 Marca. Kleczkowski nie dawał mi spokoju, chcąc mnie koniecznie w Hôtel Lambert przedstawić. Opierałam się, jak mogłam; w końcu jednak uledez musiałam, bo mąż mój tego sobie życzył, a jego życzenie rozkazem dla mnie. Ubrawszy się tedy, jak lalka, w prawdziwe paryzkie gałganki, puściłam się dziś w drogę na L'île St. Louis z małżonkiem i panem Michałem. Znow przechoziłam przez różgi. Gdyby mnie one przy najmniej wzamian co dały, ale podobno nic więcej oprócz zmęczenia. „Hôtel“ z powierzchowności bardziej starożytny, niż elegancki. Oboje księstwo nadzwyczaj uprzejmi, gościnni. Wielkopański układ nie wyrobił w nich oschłości w mowie, ani sztywności w ruchach. Księżę szczególnie miłe sprawia wrażenie. Prawy, rozumny, dziś jeszcze ujmuję swym wdziękiem, choć ma już z górą lat osmdziesiąt. Patrząc na niego, odgaduje się odrazu poważne i nieszczęśliwe koleje życia. W każdym rysie twarzy znać trud i troskę,—i przebyte cierpienie. Księżniczka Izabella *belle femme* w całym znaczeniu, wysoka, pełna dystynkcji, z piękną postawą i ruchami, trochę tylko sztywna, i jakby imponująca. Zdaje się, że nie zapomniała jeszcze, iż mogła zostać cesarzową. Zaproszona jestem na wszystkie poniedziałki; wątpię jednak, czy będę z zaproszenia korzystać.

D. 9 Marca. Księżniczka z bratem Władysławem rewizytowała mnie. Staruszkowie już nie wychodzą. Księżę Adam zletniej tylko pory korzysta, aby się z pałacu na świat wychylić. Księżniczka dziś wydała mi się mniej sztywną. Młody księżę mało ma w sobie polskiego typu, jest zaledwie przystojnym; inteligentny, dobrze wychowany, ale z powierzchowności więcej Francuz niż Polak.

Miałam dziś wizytę państwa Karolowstwa Krajsińskich, którzy przyjechali do Paryża na zimę. Znow trzeba będzie zamienić się w *journal* i rewizytować hrabinę.

D. 11 Marca. Wracamy z herbaty od Mickiewiczów. Było tam dziś tak gwarno i swobodnie, jak u najpospolitszych ludzi. Poznałam Rybińskiego i Wysockiego. Towarzystwo zabawiało się grą, śpiewem zbiorowym, rozmową, anegdotkami i wspomnieniami z kraju. Poeta niemając wcale głosu, całą jednak duszą śpiewał. W końcu nie przepomniano i „Małgorzatki.“ Były też i lzy rozczulenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 31 Grudnia 1888 r.

Nowy Grudzień i stare wspomnienia.—Manifestacje komunistyczne.—Obrachunek pochodu.—Z wielkiej chmury mały deszcz.—Balancyści w senacie.—Naquet i oportuniści.—Nie budź licha, kiedy śpi.—Opinia i jej chwiejność.—Pierwsze przedstawienie w Odeonie sztuki p. Goncourta: *Germinie Lacerteux*.—„Naturaliści“ i publiczność.—Słowo o nowej sztuce.—Wystąpienie p. Antoniego.—Opinia ministra Loeckroy.—Zmiana frontu.—Śmierć znakomitej kobiety, księżny Galliera.—Jej dobroczynność i donacje królewskie.—Życie i śmierć.—Pan na Popelin jako adwokat.—Wyrok sądu apelacyjnego w Bruxelli.—Pierwsza nagroda Paryzkiej Akademii Nauk.—Pani Kowalewska laureatka.—Święcie Prado.— Jeszcze Chambige.—Sprawiedliwość i opinia publiczna.—Święta i obchody religijne w Paryżu.

Grudzień — magiczne słowo! Samo wypisanie jego na tych kartkach, prowadzi mnie w dalekie—niestety, tak dalekie czasy, że aż strach bierze pomyśleć. Z tą nazwą ostatniego miesiąca roku staje mi przed oczyma wszystko, czego tu w tym kraju *des chauseés, dróg żelaznych, dróg murowanych*, a utrzymanych tak starannie, jakby aleje w ogrodzie jakim, w kraju — słowem: gdzie swobodne krążenie, zapewnione jest każdemu i wszystkim, nie znajduję z pewnością, choćby w najdalszym i głuchym zakątku!

Przy tem słowie: „Grudzień“, pamięć się budzi z uśpienia długiego. Widzę, jako przed laty, młodziutki student, jechałem ze szkoły na święta do domu, z miasta poiatowego na wieś. Po rozmaitych zmianach atmosferycznych, zacząwszy od Zaduszek — niebo nasze zamglone, to lało deszczem, to prosiły śniegiem, aż nakoniec, po wielkiej odeldze, nagle schwyliły mrozy—i nasze drogi, nasze kochane, samowolne drogi, po których każdy jechał, jak chciał i jak mógł — stężyły naraz przy tegim mrozie i najeżyły się tem, co się popolsku zowie: *gruda*, a na co nawet tutejsi ludzie nie mają wyrazu w swoim języku.

Na tak najeżoną powierzchnią drogi, wyrusza ogromna, tak zwana, „krakowska“ bryka, trzema wychudłemi zaprzężona szkapami, które z biegłością prawdziwych tancerzy, stawiają biedne swe nożyska, i kulejąc, slizgając się, sapiąc—włoką włoką się, jakby prowadzone na śmierć; zyd furman siedzący na kozle, w tym malowniczym stroju, który również dziś jeszcze nie zniknął z powierzchni ziemi naszej, bo chowa się gdzieś tam, jak powiadają, w Galicyi—biczem i głosem, napróżno je zagrzewa do biegu.

W tej bryce, która za każdym poślizgnięciem się koła z wierchołka zmarzłej grudy, wydaje skrzyp i jęk, jakby się rozpaść miała, a łańcuchy i łańcuszki wiszące u chomat, dzwonią wesołe kuranty—w tej bryce, powiadam, obok tłustej i rumianej Kaplińskiej klucznicy, zaszczyconej, na czas podróży po panicza, tytułem płaszcymocnicy, siedział skurczony, zawinięty w płaszczyk wiatrem podszyty, wasz sługa pokorny i za każdym ruchem ogromnej bryki, przewalał się na wszystkie strony, tuląc się przy gwałtowniejszym podskoku do tej tłustej, dobrze wymateracowanej opiekunki.

Niestety, jakże to wszystko dalekie dziś od nas i jak niepodobne do tego, co mię otacza w tej chwili!—a jednak, chociaż tym wspomnieniom bra-

knie świetności i wdzięku francuzkiego, przecież budzą one w mem sercu dziwne a tkliwe uczucie, jakby synowskiej miłości, do tego wszystkiego, co swoje. Ha! nie trzeba się przecież oddawać im zbytecznie, bo moi dzisiejsi czytelnicy czekają innych relacji i nowości z Paryża.

Grudzień w Paryżu — szczególnie tegoroczny Grudzień, to prawie nasz przegodny Październik. Dużo mgły i tumanów — przymrozki w nocy, o tyle, aby osuszyć chodniki paryżkie. Trochę deszczu, *quantum satis*, od czasu do czasu. Ale w ogólności pogoda, a nawet i słońce, chociaż nakrótka; a o zimie, wcale nie słychać tu jeszcze, chociaż kalendarz powiada, żeśmy ją zaczęli d. 21 b. m.

Skończywszy Listopad, przyklaskując co siła, jak to wam pisałem — występom zawsze czarującej Patti, chociaż diva czterdziesty już przekroczyła krzyżyk, i płacąc jej po 20.000 franków za wieczór, rozpoczęliśmy Grudzień sławną demonstracją na cześć Baudin'a i spółki. Wicie już z ostatniego listu, o co rzecz chodziła. Rada miejska i ministrowie przyłożyli czynnie rękę do tego, czysto-radykalnego obchodu. Zapowiadano coś niesłychanego jeszcze, jako manifestacja popularna — lękano się starcia, niepokojów ulicznych, znanych pod nazwą *département*! Skończyło się spokojnie, bez guzów, ale też i bez znaku wielkiego zajęcia się tem Paryżanów; choć tu ciekawych gapiów garściami można zbierać. Rzecz, która musiała zadziwiać nawet wysokich Floquetów: udział klasy wyrobniczej (*Ouvrière*) był nader skromny.

Ciekawą jest rekapitulacja tego obchodu, stosownie do barwy dziennikarskiej.

I tak najskrajniejszej opinii: *Lanterne, Radical, Le Parti Ouvrier* obliczają liczbę manifestujących na 150 do 200 tysięcy! Indyferentne jak: *XIX Siècle, Le Siècle, La Paix*, poprzestają na trzydziestu do pięćdziesięciu tysiącach. Boulangerzyści zaznaczają dwanaście tysięcy, według dziennika Rochefort'a *Intransigent*. *Le Petit Journal* doliczył się zaledwie siedmiu tysięcy, a *Le Cri du Peuple*, jako żywo, widział tylko sześć tysięcy!

La Patrie, godzi ich wszystkich, wskazując liczbę podaną przez prefekta policyi, i to zapewne będzie najdokładniejszy rachunek.

„P. Loze (prefekt policyi) — powiada ten dziennik — przynajmniej sam, że liczba manifestujących nie przekroczyła dwudziestu tysięcy osób — a ciekawych, gapimuchów, było około sześćdziesięciu tysięcy. P. prefekt opiera się zresztą na liczbach, których mu dostarczyło dziesięciu urzędników biura statystycznego, wysłanych w tym celu na miejsce pochodu manifestacji.“

W każdym razie dzień ten zaznaczył zupełne *fiasco* stronnictwa, które popierało to przedsięwzięcie towarzystwa grabarzy — jak tu ich nazywają... z p. Floquetem na czele. Niepowodzenia trudno zaprzeczyć, to też oficjalnie — *Silentium!*

„W najpochlebniejszym przypuszczeniu — powiada *Le Temps* — było to pełnięcie szpada w wodę. *Le Coup d'épée dans l'eau*.“

„*L'Observateur Français*, dziennik monarchiczny, winszuje sobie tego niepowodzenia *kommunardów*, z tego zwłaszcza powodu, że, jak mniema, wolnomularstwo żadnego nie wywiera wpływu na masę ludności paryżkiej.“

„Jeżeli wolnomularstwo — powiada — rządzi dzisiaj Francją, to jedynie zapomocą intrygi.“

Nie trzeba jednak zasypiać spokojnie na tak wygórowanym optymizmie: właśnie, że ta manifestacja, w której loże masonskie najważniejszą odegrały rolę, bo zmusiły do jej przyjęcia ministerium, obesła się tak spokojnie, a nawet porządnie — jest to znak, że danego hasła usłuchano po porozumieniu się z ministerium; na tym bowiem warunku oparł swoje przyzwolenie p. Floquet. Nie był to więc tak dalece próżny i czczy zamach; owszem, manifestacja dowodzi, że organizacja jest jeszcze w swej sile.

Ale nie trzeba, aby rząd, jak mu to zarzucają jego najwierniejsi stronnicy, ograniczał się jedynie do tego rodzaju płochych próbek swojego wpływu. — „My — powiada p. Reinach w *République Française* — powinniśmy starać się o utrzymanie rzeczypospolitej zapomocą innych wcale środków, niż te przechadzki po cmentarzach.“

A więc, zaczęliśmy Grudzień, wicherząc i brykając potrosze; kończymy rok stary w pewnym rodzaju uspokojeniu, chociaż palnych i zapalnych materiałów nie braknie. Dość tylko przypomnieć tę śmieszna i zabawną scenę, którą republikanie i oportuniści odegrali przed kilku dniami w Senacie.

Wiadomo, że garbaty senator Naquet, autor prawa rozwodowego, jest jednym ze stronników generała Boulanger'a. Otóż z powodu propozycji p. Saja co do ogłoszenia drukiem sławnej mowy, wypowiedzianej w senacie przez Challemel-Lacour'a, Naquet wszedł na mównicę, w celu własnie poparcia propozycji p. Saja; ale nagle powstał taki gwałt, sykanie i łoskot, jakich nawet w Izbie Poselskiej trudno się było spodziewać. — „Precz ztąd, garbusie! za drzwi! mierz zaciekle Boulangerysto!“ i t. p., tak, że pomimo cierpliwości i zimnej krwi, mówca nie mógł przyjść do słowa. Kiedy więc ludzie starzy, po większej części — w każdym razie *patres conscripti*, przechodzą do takich wybryków, i to z powodu tak lichy zaczepki doprowadzają i stawiają rzecz zaraz na ostrzu noża — czegoż nie można się spodziewać od tej Izby Deputowanych, która wszędzie i zawsze okazywała się niekonsekwentną, pozbawioną wszelkiej tolerancji, samowolną, przeciwniczką zgoła zmysłu politycznego? Ostatnie rozprawy budżetowe dowiodły tego najjaśniej. Co tylko pobudki osobiste i przekorność mogły wymyślić najwstrętniejszego, wszystko to się znalazło w tych rozprawach — a gwałt i namiętność wykluczały wszelką rozważę i umiarkowanie.

Jak mówiłem, nie trzeba się spuszczać na pewne oznaki mniej lub więcej spokojnej manifestacji lub zebrania w klubie. Są to jedynie skutki hasła, danego przez ludzi, którzy, sami będąc tylko narzędziami w rękę stowarzyszenia, często niewiadomie poruszającego te sprężyny, — działają na oślep i bez przekonania i wiary w to, czego nie widzą i nie znają.

W ostatniej rozprawie nad nowym prawem wojennym, podniesiono znowu kwestyą kleryków przygotowujących się do stanu duchownego. Pomimo najsilniejszych argumentów, przytoczonych przez biskupa Freppela za uwolnieniem młodzieży duchownej od ciężaru wojskowego popisu, większemu gwałtem oświadczała się za obowiązkami przymusowym, wołając ciągle: „Równość dla wszystkich!“ „Francya lubuje się szczególnie w równości!“ — Tak — odpowiedział im X. Frépel — Francuz chce być równym każdemu na świecie, — ale nie cierpi, aby ktoś jemu był równym!“ To jest najsprawiedliwsza definicya panującego tu uczucia.

Jeśli teraz ze sceny polityki przeniesiemy się na scenę literatury i teatru, znajdziemy tu nowy przykład tego, czem tu jest wyrozumiałość, tolerancja, jak je praktykuje ogół, i jaka jest chwiejność tego, co się tu zowie opinią publiczną. Niepodobna chyba znaleźć na to lepszego dowodu, nad przedstawienie, które się odbyło niedawno w Odeonie, w tak zwanym drugim Teatrze Francuzkim.

D. 19 Grudnia wystawiono poraz pierwszy w tym teatrze sztukę p. Edmunda Goncourt'a, w 10 obrazach (bez scen i bez aktów). Tytuł tej nowości jest: *Germinie Lacerteux*. Bez aktów i bez scen, w 10-ciu obrazach — to prawdziwa nowość i zerwanie z rutyną, bo, jak wiecie może, ten p. de Goncourt jest dziś uważany i przyznawany tu za głowę nowej szkoły, mającej wlać nowe nieznanne życie, nietylko w literaturę, ale i w społeczność francuzką! Zobaczmy zaraz, jak się z tego zadania wywiązał.

Szkoła, której p. de Goncourt jest głową — to szkoła Naturalistów, Realistów, czy, jak chcęcie, przezywających się pyszałków, którzy swobodę, wolność myślenia i druku, widzą w swawoli, rozwiążności i wszelkiej licencji bez wędzidla i miary! Dosyć powiedzieć, że ja, zdając wam sprawę, nie śmiem się rzucać na rozbiór jej dokładny i ścisły; że muszę się trzymać opinii cenzorów, którzy nie mogą usunąć tej sztuki ze sceny, żądali przecież wykreślenia pewnych wyrażen, — a są one tego rodzaju, że umieszczone dziś w liście do ministra oświaty, p. Lockroy... Nie, powtórzę ich tu nie śmiem...

Muszę przecież *volens volens* wrócić do sztuki

i, jak można, treściwie i skromnie opowiedzieć wam jej fabułę.

Cóż to jest ta Germinie Lacerteux? którą przeważano już tutaj *La Dame aux Camélias du fumier?* Prosta służąca z Szampanii. W czternastym roku życia przybyła do Paryża dylizanssem z miasta rodzinnego Langres. Zastajemy ją już służącą u starej panny, nazwiskiem de Varandeuil, mającej zbyt czule serce, a gębę pełną grubiańskich wyrażen.

Tu się rozpoczyna szereg tych dziesięciu obrazów dramatu, a raczej dziesięciu stacyi zepsucia i rozpacz, przez które przechodzi Germinia w towarzystwie swego amanta, rękawicznika Jupillona, dopóki wreszcie, w dziesiątym i ostatnim, nie umrze w szpitalu. Ten smutny a konieczny finał zamyka mowa pogrzebowa wypowiedziana przez pannę Varandeuil, której odźwierny zdał był sprawę z życia i śmierci jej ulubionej służącej.

— A! — woła ta szanowna dziewica, kwiat cnoty i szlacheckiego klejnotu. — Okradała mnie więc dla swoich amantów! Otóż zdechła ta suka (tłómaczę co do słowa)! Niechże gnije tam, gdzie jest teraz! i tego nawet zanadto dla niej; a ja com dała najlepszą parę prześcieradeł, aby ją złożyć w trumnie! A gdybym była wiedziała o tem naprzód, dałabym ci siarki, a nie prześcieradła... Udawała, złodziejka, że mnie kocha niezmiernie! a — te jej czułości starania i to kochanie w słowach było tylko, — wszystko to było kłamstwem!“

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Warszawski komitet wystawy paryżkiej, zwrócił się do hr. Potockiej z Willanowa, nakładając ją do wzięcia udziału w wystawie. Wysłane tam będą okazy robót kobiecych przez Szwalnię Ubogich Dziewcząt, zostająca pod zarządem hr. Ronikiera, Szkołę hr. Zyberg Plater i Zakład S-tej Marty.

— Zakład *Rodziny Adeli* dla biednych dziewcząt miasta Petrokowa powstały z zapisu K. Burgarda, otrzymał zatwierdzenie władzy i został otwarty d. 15 b. m. po nabożeństwie, odprawionem w kościele farnym, i poświęceniu zakładu.

— Współopiekę nad piątą szwalnią dla ubogich dziewcząt, mieszczącą się przy ulicy Czerniakowskiej, przyjęły pp. Karolowa Szejbler, hr. Augustowa Potocka, Marya Grabowska, Janina Kiersnowska, Ludwika Karnicka, Julia Karnicka, Ludwika Halpertowa, Henryka Halpertowa, hr. Zofia Komarowa, hr. Eliza Komarowa, Janina Giecwiczowa, ks. Jadwiga Czetwertyńska, ks. Marya Czetwertyńska, Teresa Rozencwejgowa, Anna Orsettowa, Goldstandowa, Bogumiła Piotrowska, Emilia Jelinkowa, hr. Zofia Braniczka Antonina Kotkowska, Zofia Kotkowska, Stanisławowa Kronenberg, Róża Oresettowa, Lucyńska Marcinkowska, Kazimiera Tarnowska, hr. Róża Zamojska, Bogumiła Sobolewska, ks. Zofia Lubomirska, ks. Helena Lubomirska.

— Szkoła Helenieśnicza dla kobiet założona została w Żytomierzu; założycielkami są: pp. Lewicka i Struś, uczennice zakładu hr. Zyberg Platerówny, oraz p. Kostrzycka, uczennica Warszawskiego Muzeum Pszczolniczego. W szkole tej naucza się: krawiectwa, koszykarstwa, koronkarstwa, pszczolnictwa i rysunku. Kurs nauki każdego z rzemiosł wymienionych jest trzymiesięczny, opłata miesięczna rs. 4.

— Zarząd *Schronienia nauczycielek* podaje w sprawozdaniu za rok ubiegły, że przebywało tam w czasie wspomnianym mieszkanek stałych 22; czasowych, placących za utrzymanie swoje 70; przyjętych bezpłatnie ośm — razem osób 100 przebyło tam dni 11.112. Żywność jednej osoby kosztowała dziennie kop. 22, całkowite utrzymanie z opalem, światłem, praniem i obsługą kop. 48. Przedstawia to liczby bardzo skromne, bo również skromne są fundusze *Schronienia* i pozwalają

jedyni na zaspokojenie potrzeb koniecznych. Może to zadziwiać i zadziwiać, bardzo smutnie, najpierw, z powodu, że nauczycielki nie poczuwają się we własnym interesie zabezpieczania sobie przyszłości do zapisywania się liczniejszego na członków tej dobroczynnej dla nich instytucji; powtóre, że *Schronienie* posiada kantor stręczenia bon i nauczycielek, dający nieskończenie wyższe pod względem wszelakim gwarancje dobrej woli i należyte inne pośrednictwa tego rodzaju, zwłaszcza przy stręczeniu cudzoziemek. Dodać trzeba, że członkowie rzeczywiście płacą rocznie rs. 10, członkowie ofiarodawcy rs. 5. W liczbie pierwszych mieścić się powinny wszystkie rozsądne nauczycielki; pomiędzy drugimi większość matek — matek poczuwających się do wdzięczności dla tych, które są im pomocą, w najważniejszym dziele ich życia: wychowaniu dzieci.

— Przy noworocznym rozdawnictwie we Francji orderów Legii Honorowej otrzymało ten znak zaszczytny kobiet dwie: Siostra miłosierdzia Ewelina i Karolina Cahen, które w czasie wojny francuzko-niemieckiej pielęgnowała rannych żołnierzy francuzkich z najwyższym poświęceniem, bo nie tylko w lazaretach francuzkich, ale i w pruskich: opiekunka szlachetna do niewoli wziętych biedaków. Cesarzowa Augusta, dowiedziawszy się o tem dziele poświęcenia, wezwała ją do siebie, rozmawiała z nią długo, a następnie wręczyła jej znak honorowy Krzyża Czerwenego, z wyrażeniem szlachetnego uznania dla patriotycznego poświęcenia Francuzki. Cesarzowa Augusta jest z domu Księżniczką Wejmarską, więc przez tradycje szlachetnego humanizmu, panującego w jej rodzinie, wyniesioną jest nad junkiersko-pruskie pojęcia. Obecnie wystąpienie jej przeciw Bismarckowi w sprawie Moriera wykazuje uczciwą niezawisłość charakteru i uczucie sumienia.

— W dniu 31 Grudnia ubiegłego roku zamknął się konkurs imienia Lindego, ogłoszony przez Akademię Umiejętności w Krakowie z funduszu złożonego na ten cel przez p. Ludwikę z Lindych Górecką. Przedmiotem konkursu są prace w zakresie językoznawstwa polskiego. Najlepsza otrzyma nagrodę rs. 675, dwie inne po rs. 337,5. Przyznanie nagród nastąpi na posiedzeniu Akademii w dniach pierwszych Maja, wypłata w d. 8 Maja. Fundatorka konkursu, mieszkanka Warszawy, jest córką uczonego autora „Słownika Polskiego.“ Do chrztu trzymali ją Niemcewicz i Staszic.

— Wystawa w Londynie wyrobów polskich ceramicznych, snycerskich, koronkarskich, oraz haftów i szycia białego, urządzona w zeszłym miesiącu przez komitet pań polskich, zamieszkujących to miasto, powiodła się dobrze. Burze na morzu, opóźniły przybycie wielu okazów, a dościsła pewnej ich liczby nie dopuściły wcale, przecież sprzedaż przyniosła 57 funtów sterlingów i przewodniczące wystawie otrzymały sporą liczbę zamówień, co powinno być dla producentów zachętą. Zakład S-tej Marty z Warszawy odznaczył się taką doskonałością szycia i pięknością haftów, jak również wykwinnością płótna i batystu, na którym były wykonane, że według zdania znawczyń miejscowych ani Londyn, ani Paryż nie mógłby przedstawić nic w tym zakresie piękniejszego. Przedmioty te były przeznaczone na wystawę w Głazgowie, lecz przyszły za późno; przecież obecnie panie, które były tam sędziami, przyznały im zalety zasługujące na odznaczenie i nagrodę. Należy dodać, że wykonane one zostały pod dyrekcją p. Maryi Górskiej. Piękne również były prace tegoż samego rodzaju, przesłane przez krakowski zakład S-tej Scholastyki. Jednakże

najbardziej podobały się hafty podolskie srebrem i złotem. Mieszane z czarnym i czerwonym kolorem, mniej były chwalone, niż srebrne i srebrnozłote. Księżna Argyll, życzyła sobie sukni srebrnej, i komitet wystawy, któremu przewodniczyła zacna pani Gielgudowa, poprosił ją o poczekanie. Pierwsza londyńska artystka dramatyczna, miss Ellen Terry, nabyła przód do sukni, haftowany złotem, oraz znaczną liczbę szlaczek złoto i srebrnego haftu, które mają być użyte do kostiumów w roli lady Macbeth. Koronki zakopańskie nadeszły już po zamknięciu wystawy. Komitet wystawowy, nauczony doświadczeniem, pragnie na przyszłość urządzić wystawę praktyczniej.

W Warszawie zawiązuje się spółka celem wywozu do Anglii wyrobów pracy kobiecej i zwrócono się też do p. Gielgudowej z prośbą o wskazówki i pośrednictwo.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Towarzystwo Sztuk Pięknych** przyznało na dorocznym konkursie swoim dzieł sztuki w dziale malarstwa pierwszą nagrodę Wacławowi Szymonowskiemu za obraz „Kłótnia Huculów.“ Nagrodę drugą za obraz: „Wywłaszczenie w Galicji,“ wziął Kacper Zelechowski. Listy pochwalne otrzymali pp. Julian Maszyński, Józef Pankiewicz, Wincenty Wodziński, Maryan Zaremski, Zdzisław Jasieński, Roman Kochanowski. Między sędziami znajdował się zaproszony członek honorowy *Towarzystwa*, Siemiradzki. Zapowiedziany obraz Rosena: „Przeгляд kawaleryi przed W. Ks. Konstantym na Saskim Placu w 1824 r.“ nadejdzie w tych dniach do Warszawy i umieszczony będzie w sali *Towarzystwa*.

— **Matejko** zamierza wykonać cykl obrazów, mających przedstawiać dzieje oświaty naszej, poczynając od Mieczysława i Dąbrowki, aż po czasy Stanisława Augusta. Wykonał już dziewięć obrazów tej seryi; ma ich być jeszcze kilkanaście.

— **Historja Literatury Polskiej**, skreślona na tle dziejowem przez Maryana Dubieckiego, a wydana nakładem M. Orgelbranda, zostanie ukończoną wkrótce. Popularnego, użytecznego tego dzieła wyszedł już przedostatni zeszyt XI, kończący ocenę poezyi i powieści. Zeszyt XII obejmie rzecz o dziejopisarstwie i źródłach historycznych naszej epoki.

— **Dla szkoły w Cieszynie** ofiarował p. Leon Koc, mieszkaniec Kijowa, bibliotekę, składającą się z 4.000 tomów.

— **Pod pseudonimem Wołodyjowskiego** ukrywający się wielbiciel Sienkiewicza ofiarował mu, jak wiemy, rs.15.000, których obdarowany nie przyjął, że zaś ofiarodawca także już zwrotu jej nie przyjmuje, więc Sienkiewicz postanowił szlachetnie utworzyć z procentów od tej sumy „fundację imienia s. p. Maryi Sienkiewiczowej,“ to jest zmarłej swej żony, z celem ratowania chorych literatów, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków lub ich żon, potrzebujących przebywania w klimacie cieplejszym. Zmarła uległa chorobie piersiowej, w której jedynym ratunkiem jest oddychanie powietrzem krajin cieplejszych, niżeli ojczyzna nasza.

— **Na zakup Zakopanego** zbieranym jest w Galicji przez adwokata Retingera fundusz potrze-

bny. Dotąd zebrano podpisów na 40.000 zł. reń. lecz potrzeba ich jest jeszcze na sumę 350.000. Są przecież na hypotece Zakopanego pewne summy, których spłata nie będzie żadaną natychmiast.

— **Wystawa domowego przemysłu Galicji** zamierzona jest w Wiedniu dla pozyskania temuż przemysłowi zbytu na targach zagranicznych.

— **Muzeum Tatrzańskie** imienia D. Chałubińskiego, z celem gromadzenia wszelkich przedmiotów, mających związek z Tatrami polskimi, uzyskało potwierdzenie rządowe statutu swego. Członek założyciel wnosi w gotowiznie lub zbiorach jednorazowo 200 zł. reń., członek rzeczywisty płaci rocznie 10 zł. reń. Muzeum, już otwarte, liczy 1.250 okazów zoologicznych, botanicznych i mineralogicznych.

— **Poznańskie Towarzystwo wiecowe** ogłosiło przez kommissyą swoją, że staraniem jej urządząno zebrań wiecowych w Wielkim Księstwie Poznańskim 114, w Prusach Zachodnich 24. Obok tego wydano „Poradnik dla wiecowników“; założono kilkanaście „kółek rodzicielskich“, rozszerzono czytanie między włościanami i mieszczanami mało-miasteczkowemi, przez rozdawanie elementarzysty książek do czytania; zachęcano i pomagano do zakładania bibliotek miejscowych. Z inicjatywy kommissy wiecowej, wiele gmin podało petycje o wykład religii w szkołach w rodzinnym języku.

— **Sędziwy poeta** Karol Brzozowski, obecnie dyrektor Zakładu hr. Skarbka w Drohowsku, obchodził jubileusz czterdziestoletniej pracy na polu literatury d. 11 Stycznia. We Lwowie przedstawiono dnia tego w teatrze sztukę jubilatą: *Malek*.

— **Papież** wydał w końcu zeszłego miesiąca encyklikę „Exeunte jam anno“, w której dziękuje światu katolickiemu za dowody synowskiej miłości, otrzymane w czasie roku jubileuszowego. Dalej encyklika wykazuje obowiązki życia chrześcijańskiego i cnót, które się z nim łączą, jak przyczyny ze skutkami. Dotknięty tu został i socjalizm, którego źródło kryje się w filozofii materialistycznej, zaciemniającej zdrowe pojęcie o prawach i obowiązkach człowieka. Encyklika pisana jest silnym, lapidarnym stylem.

— **Na Wystawie Paryzkiej** zaliczać się będzie do osobliwości ogromny globus o 13-tu metrach średnicy, a w skutek tej, pierwszy raz ukazującej się wielkiej skali, dawać będzie pewne wyraźne pojęcie o odległości od siebie danych punktów. Po raz pierwszy-to dopiero globus będzie wskazywał przestrzeń miast w stosunku oznaczonym. Paryż zajmie tu centymetr kwadratowy. Globus obracać się będzie wkoło swej osi, a jednocześnie ukazywać ma dokładny ruch kuli ziemskiej. Budowano go pod kierunkiem najwyższych naukowych powag Francji. Pomysł wyszedł od Dotard'a i Villard'a, nadzorujących dzieło budowy.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ. Niepogardzaj (wiersz) przez J. K. Ehrenberga. — Serce i głowa, przez Maryą Ilnicką. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Dziennik Zofii Komierowskiej. — Nowiny paryzkie. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili przez Maryą Ilnicką.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycją stołu.**